ROK PIĄTY.

№ 37.

WARSZAWA

d. 28 sierpnia (9 września)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

15ta po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dajcie jałmużnę, abyście hojnie siejąc, hojnie żęli; nie wątp o wróceniu, gdyć Chrystus dłużnikiem zostaje
(*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Ślepy Skrzypek.



O! nie żałujcie wsparcia dla brata nędzarza,
Gdy Chrystus jego dłonią w wasze wrota puka,
O! nie gardźcie błaganiem smutnego Łazarza,
Co nędznych okruch uczty z waszych stołów szuka.

Patrzcie! ot jakiś człowiek kroczy przez ulicę,
Postępując nieśmiało wśród gawiedzi wrzasku;
Czoło jego zmarszczone, zawarte źrenice,
Bo nie ujrzą już nigdy słonecznego blasku.
Jednak dziwną pogodą jaśnieje kaleka;
Twarz jego chociaż wiekiem zmieniona i troską,
Nie ma piętna rozpaczy, znać on nie narzeka,
Ale niemém poddaniem wielbi wolę Boską.
W jednéj ręce skrzypeczki, drugą trzyma wspartą
Na ramieniu dziewczynki, co go wszędzie wodzi;
Miłaż i ta dziecina, choć odzież ma zdartą,
Swem tkliwem poświęceniem dolę starca słodzi.
Ozwał się odgłos smyczka... o! te lube skrzypki
Już nigdy nie wydadzą tonów tak uroczych,
Jakiemi brzmiały niegdyś, gdy pod cieniem lipki

Budziły wiejską młodzież do pląsów ochoczych.
Z każdéj nuty poczętéj dziwny smutek wieje,
I do serca słuchaczów przenika tęsknotą,
Bo te nuty im ducha powierzają dzieje,
I jęczą smutną pieśnią nad starcem sierotą.
Proste są jego dzieje: lata swoje młode
Przepędził w cichéj wiosce, strzegąc ojców roli,
Potem rzucił ze łzami rodzinną zagrodę,
By skosztować wojaczki i żołnierskiéj doli.
Zwiedził odległe kraje z krwawą bronią w ręku,
Ciesząc stęsknioną duszę tą błogą pociechą,
Że kiedyś znów usłyszy po orężów szczęku
Lubą piosnkę ojczystą pod rodzinną strzechą.
Skoro minął czas wojny, z żywem serca biciem
W tę podróż pożądaną wybrał się wesoły,
By na łonie rodziców wytchnąć innem życiem;
Lecz powrócił, by tylko zastać ich popioły,
I dziwnie odmienione swe rodzinne strony,
I serca mniej gorące, niż znał je przed laty:
Obcy pług krajał w skiby ojczyste zagony,
Obce twarze się snuły w ścianach staréj chaty;
Lecz chętnie zamknął w duszy swe własne cierpienie,
Pozbawiony najdroższych dla serca postaci.
Teraz całemi siły trud i poświęcenie
Niósł na ołtarz miłości dla uboższych braci,
I byle rzucił okiem na chatę rodzinną,
Byle nie stracił z oczu ojczystego nieba,
Odzyskiwał swobodę i radość dziecinną,
I mawiał, że mu więcéj do szczęścia nie trzeba.
I chętnie w każde święto wpośród starców koła
Nastroiwszy skrzypeczki, pokręciwszy wąsy,
Patrzył z uśmiechem szczęścia, jak młodzież wesoła
W takt skoczny jego smyczka zawodziła pląsy.
Lecz Bóg lubi doświadczać serc wybranych wiary:
On pragnął dotknąć starca jeszcze cięższym losem,
I wymagając po nim ostatniéj ofiary,
Uderzył w jego serce najdotkliwszym ciosem.
Było to późno wieczór, raz porą jesienną,
Kiedy cichy lud wiejski nie myśląc o trosce,
Spał głęboko znużony pracą całodzienną,
Przez niebaczność niewieścią wybuchł pożar w wiosce,
Krwawy płomień przedzierał gęste nocy cienie,
A od strony zachodniéj powstał wiatr złowrogi.
Czuwał jeszcze nasz skrzypek, a widząc zniszczenie,
Pośpieszył swoich braci ratować z pożogi.
Strasznaż to była chwila, gdy wśród bydła ryku,
Z załamanemi dłońmi wiejscy gospodarze,
Wśród trzeszczenia płomieni, bolesnego krzyku
Rachowali z rozpaczą ukochanych twarze.
Skrzypek nie miał nikogo, lecz wszyscy mu drodzy,
Dla niego każdy bratem, biedny czy bogaty,
Ale najblizsi serca byli mu ubodzy,
I z największym zapałem leciał w biednych chaty.
Więc rzucił zrozpaczoną wieśniaków drużynę
I prawie lotem ptaka podążył w kierunku,
Zkąd doszedł go krzyk matki, co tuląc dziecinę,
Ogarniona płomieniem, wołała ratunku.
Lecz coraz wzrastał ogień, a milknął głos matki,
Aż ucichnął na wieki w płomiennéj mogile,
Nim skrzypek przestąpiwszy płonący próg chatki,
Zdołał wyrwać dziecinę strasznéj ognia sile.
Dokonał swego dzieła, lecz ze wschodem słońca
Naprożno tarł w boleści zranione powieki:
Dla niego już noc czarna nastała bez końca,
Światło jego oblicza zagasło na wieki!
Lecz nawykłszy już spełniać boleści kielichy,
Nie przypuścił do serca zbrodniczéj rozpaczy,
Ukrył w głębinie duszy żal srogi choć cichy,
I w pokorze się puścił na żywot tułaczy.
Uniósł z sobą skrzypeczki, zabrał nędzne dziecię,
Nad którego też główką zawisnął miecz Boży,
By z niém razem wędrować po obszernym świecie,
Nie dbając teraz wcale, gdzie kości swe złoży;
A budząc litość drugich, pieści tę myśl miłą,
Że w śmierci swéj nie ujrzy złowrogiego gońca,
Lecz radosną zwiastunkę, że tam za mogiłą
Ujrzy twarze swych drogich i światłość bez końca!

Opowiadanie starego żołnierza.

—

Urodziłem się w Płockiem, w téj części, co ją ślepemi Mazurami zowią. Może ona obcemu wydawać się posępną i niemiłą, lecz dla mnie była i jest zawsze dziwnie wdzięczną i wesołą. Niech sobie obojętni ludzie co chcą gadają; niechaj jeżdżą za granicę szukać obcego nieba i cudzéj wody dla swego zdrowia; mnie się zawsze widzi, iż między ziemią, na któréj się człowiek urodził, powietrzem, co od dzieciństwa oddycha, a nim samym istnieje związek, i taż ziemia ojczysta, to niebo najzbawienniejsze są dla jego zdrowia. Kamień nawet, na którym w młodości siadałeś, drzewo, co ci użyczało cienia w dniach jasnych twego życia, kiedy nadejdzie cierpka i przykra starość, a obaczysz się na świecie zwątlałą już tylko sierotą, staną ci się miłemi i dobrymi przyjaciołmi; z niemi radbyś pogawędzić o dawnych lepszych czasach, zdaje ci się nawet, iż one z tobą popłaczą. Wybaczcie staremu zbyteczny wstęp, lecz wracam do méj powieści.

Ojciec odumarł mnie wcześnie, biedna matka ciężko pracowała, aby mnie i siebie wyżywić i jakotako przyodziać. Oj! napatrzyłem się co niemiara na nędzne życie nieszczęśliwéj wdowy. Choć byłem malec bezsilny, czułem przecież każdą krzywdę méj biednéj matki, a w przystępie słusznéj złości, chciałem niejednemu zemstę moję okazać; lecz rozumniejsza odemnie matka, surowo mi tego wzbraniała.

Tak przeszły pierwsze lata mego dzieciństwa, jak to najczęściéj bywa w naszym ubogim stanie: w chłodzie i głodzie. Modliłem się, cierpiałem, płakałem, robiłem psoty, gdy się pora wydarzała; bili ludzie słusznie i niesłusznie, karała choć ze łzami dobra matka, dopóki nie doszedłem lat 12-tu. Wówczas matka uznała, iż mogę na siebie pracować i oddała mnie w służbę do gospodarza w téj saméj wsi, imieniem Michała. Był to człowiek pobożny, pracowity, gospodarny, ludzki dla obcych, miłosierny na ubogich, a choć na mnie trochę za ostry, jak to często moje uczuwały plecy, lecz co robił, było sprawiedliwe; a choć mnie nieraz uczciwie wygrzmocił, nie miałem i nie mam mu tego za złe, boć wiem, że jeżeli młodego urwisa nie karcą, to będzie z niego na starość złodziéj.

Moi gospodarstwo mieli kupę dzieci, synów i córki, lecz te pomarły i została im tylko najmłodsza Halka. Gdym nastał do nich, miała ośm lat. Razem oboje wzrastaliśmy, z tą różnicą, iż ona rosła jak piękna nadwiślańska topola, hoża i giętka, a ja jak niezgrabny chojak. Od dzieciństwa przyzwyczaiłem się patrzeć na Halkę; a było patrzeć na co, bo ani w całéj wsi, w całéj okolicy, ba nawet i w kościele, (choć to wielka owa parafia była) nie widziałeś takiéj dziewicy. Mnie serce do niéj ciągnęło, lecz pomyślawszy, żem biedak, sierota i na zdrowiu niepotężny, ofiarowałem Panu Bogu moją dolegliwość, a choć zawsze życzyłem Halce jak najlepiéj, już sobie nią głowy nie zajmowałem.

Lecz z innymi parobkami naszéj wsi inaczéj się działo: jakby ich licho jakie opętało, wszyscy jak muchy na lep lgnęli do Halki, a gdy już doszła lat 18-tu, to już od naszéj chałupy i kijem téj hałastry nie odpędziłeś. Michałowi widno nie była ta zgraja po myśli, bo choć pragnął postanowienia jedynaczki, choć sute oddawna przygotował dla niéj wiano, choćby i niejednego gotów był przyjąć za zięcia, chmurny był i ponury, chodził jakby nie swój, pomrukiwał tylko. Boć stary Michał miał rozum: on pragnął powoli upatrzeć człowieka, poznać go z gruntu, a dopiero powierzyć mu los ukochanego dziecka. Lecz i Halka podzielała myśl starca: ona jak królowa wśród dworu, z góry patrzyła na biednych chłopaków, chodząc zadumana.

Uważałem sobie wszystko w dali i nawet czasem pomyślałem: Nie śpi licho; może zdarna dziewucha w tobie Bartku się rozmiłowała. Aleć nie byłem dość głupi, abym się długo podobną bawił nadzieją. Ludzie, co zaraz wszystko wiedzieć muszą, a nawet często i to, o czem się nikomu nie śniło, zaczęli szemrać, iż w miasteczku na jarmarku Halka zobaczyła Janka, syna gospodarskiego z niezbyt odległéj wioski, i że oboje dziwnie sobie przypadli do gustu. I wierzyłem i nie wierzyłem. Boć ludzie wiele udać umieją; ale Janek młody, dorodny, ona w dwójnasób, czemużby sobie udać się nie mieli? Lecz tym razem mieli ludzie prawdę, bo niedługo pokazał się Janek. Michał przyjął go gościnnie,

wpatrując się w niego przenikliwie, jakby go chciał przejrzeć aż w głąb' duszy. Matka nie wiem czemu, miała łzy w oczach. Halka acz mu serdecznie rada była, smutnie wyglądała. Ale wy dziewczęta macie wasze dziwactwa, czy udajecie, czy w saméj rzeczy: tam chcecie płakać, gdzie się śmiać i weselić wypada. Na co to?

Ja nie wiem. Janek był jeszcze razy kilka i tak jakoś z Halką rozmiłowali się w sobie, iżby jedno za drugie i życie oddać rade.

Stary wywiadywał się o Janku, a kiedy tylko dobre słyszał wiadomości, pozwolił na połączenie się; a ja choć trochę z żalem, czekałem, rychło ogłoszą zapowiedzie. Ale nie zawsze dzieje się, jak człowiek sobie zamierza. Tak się też i tu stało; bo kiedy Halka i Janek cieszyli się i radowali, wokoło nich czarna zbierała się burza. Nastała wojna: Janek miał ochotę ruszać z drugimi, lecz żal mu było Halki i nie wiedział, co począć. Wstyd mu było zostać, nie miał serca ją opuścić.

Oj! pamiętam jeszcze tę chwilę, gdyśmy zebrani w znaczny poczet, opuszczali rodzinną wioskę naszą. Lecz w duszy Janka inaczéj dziać się musiało, bo kiedym spojrzał na niego, to jego twarz zwykle rumiana, bledszą była od jego sukmanki. Drżał tylko jak listek i wciąż patrzał przed siebie, niby jak pijany, co pragnie kogoś dojrzeć. Jam także spojrzał w ową stronę i ujrzałem w okienku Halkę, jak wyciągając ku nam ręce, zdawała się dawać znaki pożegnania. Boleść tłumiona tak się silnie na jéj twarzy odbiła, tak mnie wskroś przejęła, iż kto wie czybym jak baba nie zabeczał.

Nie będę wam opisywał naszéj wojaczki, to już do mojéj nie należy powieści, a smutno i bardzo smutno staremu rozrywać niezagojone rany. Powiem wam tylko, że w czasie jednéj bitwy kiedy zachuczały działa, jak grzmot zapowiadający zbliżenie się burzy; nasz szwadron stał tuż przed frontem. Janek w czasie wojaczki przywykłszy do obozowego życia, jakoś sobie był wyperswadował ciężką żałość po Halce, a bił się wszędzie daleko odważniéj niż ja (bom od dzieciństwa miękki był na krew), stał podle mnie, dziwnie był smutny, ruszał ustami, jakby się modlił, lub coś mówił.

— Bartku, rzekł po chwili, zły dzień dzisiaj, mnie tak nudno na sercu... może która *przyjaciołka*, co nam tak słodko śpiewają, myśli człowieka utulić, pamiętaj....

Lecz nie domówił daléj, kiedy granat padł przed nami: wił się chwilę, warczał, a potem jakaś mgła gęsta mnie otoczyła...... Gdym przejrzał, leżałem na ziemi, rzucony straszną siłą, koń opodal mnie; probowałem powstać, lecz czułem, iż mam zgruchotaną nogę. Tuż leżał Janek, krew twarz mu broczyła, lecz nie ruszał się wcale. Janku, bracie, zawołałem, ocknij się, spójrz jeszcze na mnie. Janek otworzył z ciężkością oczy, bo już na nich osiadł pomrok śmiertelny, chciał mówić, lecz widać nie mógł; podniosł rękę, wskazał ku rodzinnéj stronie, westchnął tylko ciężko i z westchnieniem dusza uleciała! Z żalu i bólu przytomność mnie odbiegła. Gdym się obudził, byłem w szpitalu, a wokoło słychać tylko było jęki rannych i chrapanie konających. Bitwa oddawna ustała, trupów już pochowano. Noga moja nie była do wyleczenia, musiano ją amputować. O! com ja wycierpiał boleści, ilem użył biedy, to tylko Bogu samemu wiadomo! Gdym miał się trochę lepiéj i szczudło mi przyprawiono, wywlókłem się ze szpitala, bo pragnąłem wynieść się na wieś, aby przy zdrowszem powietrzu odzyskać cośkolwiek siły. Jakoż poczciwy gospodarz z Hrubieszowszczyzny, acz sam bardzo wojną zrujnowany, ulitował się nad nędzą kaleki i przyjął mnie do domu. Przebyłem tam blisko dwóch miesięcy; siły mi wróciły, pomagałem jak mogłem memu dobroczyńcy w pracy, aby darmo chleba nie zjadać, kiedy mnie ogarnęła taka do swoich tęsknota, iż miru nigdzie nie miałem, bo i matka moja spoczęła wiecznie. W dzień chodziłem nieprzytomny i wszędzie widziałem chałupę Michała i jego rodzinę. Zdało mi się, iż zgłupieję. Widząc tedy, iż nic z sobą nie pokuram, wybrałem się w drogę bez grosza, bo zkądże go wziąć miałem? Lecz zawsze ufałem i ufam w Opatrzność Boską, a trochę i litość dobrych ludzi, co choć sami często biedni, ratują chętnie żołnierza kalekę. Jakoż nie zawiodłem się wcale; z wioski do wioski wlókłem się o szczudle i kuli, a choć nigdzie nie żebrałem, jakoś znalazła się zawsze jakaś litośna ręka, co mnie nakarmiła, podała garść słomy na posłanie i często grosz na drogę. Cześć wam poczciwi ludzie, już wy wszyscy bez mała na lepszym świecie;

niech wam Ojciec Niebieski nagrodzi wasze cnoty wiecznym pokojem i światłością swoją!

Tak idąc, przybyłem do naszéj wioski; nie poszedłem zaraz do Michałów, brakło mi odwagi, tylkom się ludzi o nich rozpytywał. Michał nie żył, umarł od roku. Ona trzymała gospodarstwo czas jakiś, zapewnie czekając na Janka, lecz gdy nie dawał o sobie wiadomości (a może kto o jego śmierci powiedział), oddała je bratankowi, a sama z córką komorą siedziała. O Halkę jakoś pytać się nie śmiałem, żal mi było niebogi i serce smutnie wróżyło. Zaledwie w końcu trzeciego dnia udałem się do nich. Matka z córką siedziały w izbie, Michałowa przędła, Halka mając jakąś robotę w ręku, głęboko dumała. Gdym wszedł, na łoskot szczudła obie zadrżały, matka krzyknęła; rzuciłem się jéj do nóg, płacząc rzewnie; ona mnie równie ze łzami witała. LeczHalka była niemą, suchą źrenicę wlepiła we mnie, jakby pytała: a on gdzie?

O Boże! Boże! co się też to zrobiło z biedną dziewczyną!... z owéj dorodnéj Halki, cień się tylko a raczéj żyjący szkielet pozostał; oczy tylko dziwnym blaskiem gorzały i we mnie były ciągle utkwione. W drodze jeszcze na odpowiedź się gotowałem, lecz zobaczywszy Halkę, o wszystkiem zapomiałem.

Zaledwie wyjąkałem po chwili: Halko! on żyje... kazał cię pozdrowić, nie przybył jeszcze, bo chory, został w szpitalu. Halka się dziwnie uśmiechnęła.

— Dzięki ci Bartku za twoje poczciwe kłamstwo, mnie ono zbyteczne; ja widziałam Janka w owym okropnym dole, co zamknął tysiące naszych braci. Powiedz mi Bartku, czy ztamtąd pozdrowienie mi przynosisz?

Trudno było daléj kłamać, zamilkłem; ona więcéj nie mówiła. Tak przeszedł czas jakiś; kiedy niekiedy chodziłem do Michałowéj, lecz już wzmianki o Janku nie było. Mnie on ciążył na sercu, lecz trudno było wznawiać bolesną rozmowę, kiedy nikt jéj nie zaczynał. Gawędziliśmy to o tem, to o owém z Michałową, Halka zwykle milczała, lecz nikła widocznie. Raz przyszedłem do nich jak zwykle pod wieczór, bo mając służbę, w dzień pracowałem. Halka mnie raźno powitała:

— A witajże miły Bartku, rzekła, dobrze żeś przyszedł, tak pragnęłam cię oglądać. Zdziwiony jéj niezwykłą wesołością, spojrzałem jéj bystro w oczy, ona się uśmiechnęła.

— Dziwisz się mojéj radości, rzekła, a jam tak szczęśliwa; widziałam dziś w nocy Janka: stał przed oknem na białym koniku i wciąż na mnie kiwał... on mnie czeka blisko od roku, dziś po mnie przyjechał, trzeba się zabierać.

Matka cała we łzach powiedziała mi, że Halka dziś rano była u spowiedzi i już tylko na śmierć się gotuje. Żal ciężki mnie ścisnął, i niedługo bawiąc, odchodziłem; gdym był w sieni, Halka wybiegła i podała mi rękę.

— Bywaj zdrów poczciwy Bartku, rzekła z cicha, pamiętaj tu o mojéj biednéj matce, módl się za mnie i za niego... bywaj zdrów nazawsze! Przejęty żalem wróciłem do domu, całą noc spać nie mogłem. Skoro dzień dobry zaświtał, pobiegłem do Michałowéj; tam zastałem straszliwy lament. Michałowa płakała, załamywała ręce. Halka nie żyła; wkrótce po mojem odejściu, modląc się jeszcze długo, podniosła się, ucałowała matkę, prosząc, aby jéj przebaczyła wszystkie przewinienia i łzy, których niewinnie była przyczyną, potem położyła się na łóżku w całem ubraniu i za chwilkę cichutko usnęła. Michałową smutek ogarnął; wstała i zajrzała do córki, lecz już tylko martwe leżało ciało. Halka już poszła do Niebieskiéj ojczyzny!

Są chwile w życiu, których wrażenie nigdy się w pamięci i sercu człowieka nie zaciera; tą chwilą dla mnie jest śmierć i widok Haliny; zda się mi, iż widzę zawsze, jak ją w wianku mirtowym, w białéj sukience, z twarzą smutnie uśmiechniętą, z rękami złożonemi na krzyż kładą do twardéj i zimnéj trumny. Patrzę na nią, jakby to wczoraj było, a przecież tyle już lat ubiegło, tyle mnie ciosów dosięgło. O! śpij dobra, nieszczęsliwa Halko, niechaj ci ziemia tak nie ciśnie serca, jak ci go boleść za życia cisnęła. Śpij kochana dzieweczko, a kiedy trąba Archanioła wszystkich nas na sąd straszliwy zawezwie, pomóż mi powstać staremu, boś umarła jak święta, i mam nadzieję, iż Sędzia najwyższy przyjął twoje cierpienia na zmazanie małych twych win na ziemi!

Dopełniałem święcie ostatniéj prośby Halki, pocieszałem ile mogłem biedną matkę; lecz co podoła w takiéj żałości ludzka pociecha? Rok nie upłynął, już Michałowa poszła za mężem i córką. Pochowaliśmy ją przy nich. Jeżeli kogo z was los w tamte zapędzi strony, jeżeli kiedy odwiedzicie wioskę Ł. moje ro-

dzinne gniazdo, pójdźcie też i na smętarz miejscowy, gdzie są trzy mogiły tuż obok siebie, na dwóch stoją stare czarne krzyże, a wśrodku bieluchny kwiatkami osadzony; koło grobów rosną dwie płaczące brzozy, a pod niemi darniowe ławeczki. Lecz może one już wówczas zniszczeją, a może jeżeli Bóg miłosierny dozwoli, i moja mogiła do nich się przytuli. Westchnijcie za dusze poczciwych ludzi, bo to jest ostatnie schronienie nadobnéj Halki i jéj bogobojnych rodziców.

Rady dla ludu.

—

Nauka o przyprawach pokarmów, owocach i grzybach.

Zachowanie życia i zdrowia, tak zaczął ks. proboszcz, jest, jakem to już wam mówił, obowiązkiem przez religię nakazanym. Aby obowiązek ten dokładnie spełnić, wiedzieć nam przedewszystkiem należy, co zdrowiu naszemu szkodzi, a co pomaga; dlatego posłuchajcie z uwagą méj nauki, w któréj właśnie o pożytkach i szkodliwości pokarmów mówić wam zamierzyłem.

Głównemi przyprawami pokarmów jest sól i okrasa; bez obudwóch trudno się obéjść, żadnéj jednakże nadużywać się nie należy. Tym czasem popatrzmy, jak się to u was dzieje. Jest z was który zamożniejszy, zabije wieprzaka na okrasę, to już raczy się omastą od rana do wieczora i chce, żeby pokarmy w niéj aż pływały. Dzieci zapatrując się na rodziców, tychże samych nabywają upodobań i nałogów, to jest jeść tłusto, a pracować jak można najmniéj. Kiedy się raz wyrostka spytałem, co by też robił, gdyby był wielkim panem, odrzekł mi z całą otwartością: a cóż? leżałbym sobie cały dzień na ciepłym piecu i słoninę bym masłem smarował, a jadł!....

Nadużycie soli sprowadza szkorbut, zbytek zaś okrasy sprawia zgagę, niestrawność i inne cierpienia: szczególniéj zaś stara słonina, sadło i masło, a nadewszystko stary olej, wzbudza je w wyższym nierównie stopniu; bardzo więc umiarkowanie okras tych używać należy. Wyborną przyprawą, a zarazem bardzo zdrowym pokarmem jest mleko, szczególniéj słodkie; zsiadłe bowiem w późnéj jesieni, w zimie i z początkiem wiosny, za nim ciepła nastaną, zbyt oziębia żołądek, mianowicie zrana i naczczo użyte, czem nabawić się łatwo zimnicy. Sér krowi, dopóki jest świeży, dobrym i lekkim jest pokarmem; lecz owczy świeży, a krowi stary, są łykowate i mniéj strawne. Serwatka świeża służyć może za napój zdrowy i lekki.

Jak owoc dojrzały i w dobrym gatunku jest zdrowy, tak szkodliwe są zdrowiu wszelkie owoce i jagody niedojrzałe. Prócz tego są jagody zawierające w sobie niebezpieczną truciznę: są one podobne z pozoru do czarnych czereśni, borówek albo porzéczek; kilka takich jagód połkniętych śmierć dzieciom zadaje. Nie jedźcie więc żadnych jagód, których dobrze nie znacie, ani też dzieciom waszym rwać je pozwalajcie; ale raczéj nauczajcie je zawczasu rozpoznawać pożyteczne od szkodliwych. Największą wszakże należy wam zachować ostrożność przy sporządzaniu grzybów i bedłek, jako pokarmu powszechnie prawie używanego, gdyż pomiędzy niemi znajduje się wiele takich, które ciężkie choroby, a nawet śmierć przynoszą. W rozróżnieniu grzybów mniéj szkodliwych od trujących, zachodzi wielka trudność; dla uniknienia atoli niebezpieczeństwa, te przy ich zbieraniu zachować wam trzeba ostrożności:

1. Nie zbierać grzybów z miejsc zacienionych, nieczystych, zgnilizną bądź roślinną bądź zwierzęcą zapełnionych; wyjątkiem od tego prawidła są *pieczarki*, które właśnie na gnojach i w miejscach ciemnych najczęściéj rosną.

2. Grzyby, których tkanina sucha i jędrna, są bezpieczniejsze od miękkich i wodnistych. Dlatego *kołpaki*, chociaż są odmianą pieczarki, tylko młode są dobre; starsze zaś jako miękkie, poczerniałe i rozpływające się, okazały się niezdrowemi.

3. Tylko całe i świeże grzyby do użytku wybierać, pokruszone zaś, lub kwasem cuchnące odrzucać.

4. Grzyb każdy podejrzany skosztować, a zbyt ostry w smaku odrzucać należy.

5. Każdy grzyb większy, na drobne kawałki pokrajać, mniejszy chociaż wpodłuż przekroić, dla przekonania się o jego zdrowiu; zrobaczałe nie są dobre do użycia.

6. Trzony czyli korzenie całe, jako najczęściéj włókniste, niestrawne i zrobaczałe, a przynajmniéj część ich niższą odkrawać, wyjąwszy w pieczarkach i grzybach prawdziwych, w których trzony smaczniejsze i jędrniejsze bywają, niżeli inne części grzyba.

7. Zbieraniem grzybów trudnić się powinny osoby ze szkodliwemi ich gatunkami dobrze obznajmione.

8. W ogóle dla uniknienia niebezpieczeństwa przy użyciu grzybów, należy je przed ugotowaniem dobrze nasolić, lub w wodzie octem zaprawionéj przetrawiać, potem płyn odlać, grzyby wycisnąć i w wodzie zimnéj przepłukać.

Szkodliwość grzybów zawisła od trzech okoliczności: *a*) jadu właściwego, *b*) nieświeżości, *c*) złego przyrządzenia.

Rozmaitym co do smaku jad w grzybach bywa. Raz jest on ostry i szczypiący, a jako mniéj więcéj lotny, sprawia szczypanie w oczach i nosie. Jad ten znajduje się w *mleczajach* (grzybach sok mleczny wydających), oraz w *surowiatkach*, mianowicie w tak zwanych *gorzkówkach*, jest do tego stopnia ostry, że od jego skosztowania język pali i brzmieje jako po mocnem oparzeniu. Widoczna tedy, że grzyby podobne dostawszy się do żołądka, działają sposobem *trucizn ostrych* i w przewodzie czyli w kanale pokarmowym sprowadzają zapalenie, objawiając się silnemi boleściami żywota, wzdęciem jego, wymiotami, krwawą biegunką, zimnemi potami, kurczami, następnie zgorzelizną przewodu i śmiercią. W ogóle otrucie to, podobny co cholera obraz przedstawia. W innych grzybach jad obrzydliwszego jest smaku i zapachu zbutwielizny, który przy gniciu staje się smrodliwym jak gnijące śledzie. Jad ten nie posiada właściwie żadnéj ostrości, ale pożute grzyby pozostawiają drapanie w gardle i ckliwość w żołądku. Jadem tym przejęte są *muchary czyli muchomory, barwy siarczysto żółtéj i zielonkowatéj.* Grzyby te działając na podobieństwo trucizn *odurzająco-ostrych*, sprowadzają boleści w żołądku, wzdęcie brzucha, morzysko, wymioty, biegunkę, kurcze, ból i rozpalenie głowy, odurzenie, majaczenie, a nawet i śmierć.

W innych znowu grzybach, jad posiada smak prawie miły, słodki, zapach przyjemny, grzybom najlepszym właściwy; pożuty z początku nic odrażającego nie zostawia, późniéj atoli sprowadza odurzenie, ból głowy, szum w uszach i wymioty: słowem działa jak trucizna *czysto odurzająca*. Jadem tym przejęte są *muchomory czerwone i pomarańczowe, grzyby jadowite*, oraz *kołpaki dzikie*. W reszcie w *podgrzybkach* inaczéj *piaskowemi grzybkami* lub *zajączkami* zwanych, znajduje się jad piołunowo gorzki; grzybki te jednak wrzącą oparzone wodą, następnie w zimnéj przepłukane, za pokarm nieszkodliwy posłużyć mogą.

Jak inne pokarmy *np.* ryby, jajka, bryndza, kiełbasy, wędzonka przez nieświeżość i przejście w zgniliznę, stają się trującemi, tak samo grzyby jako wodniste, łatwo zrobaczeniu i zgniliźnie ulegające, okazują się w tym stanie niestrawnemi i szkodliwemi; dlatego tylko grzyby świeże, jędrne i zdrowe do użytku zbierać się powinny. Grzyby niedogotowane chociażby najzdrowiéj zebrane, staną się szkodliwe, a nadto odgrzywanie grzybów choćby świeżych w przyrządzeniu, po dłuższym czasu upływie, szkodliwym się dla zdrowia nieraz okazało. Wystrzegać się więc wam podobnego odgrzewania przez wzgląd na własne i rodzin waszych zdrowie należy. W samem następnie przygotowaniu grzybów na pokarm, szkodliwy wpływ ich na zdrowie nieraz spoczywać może. Potrzeba więc gospodyniom zwracać troskliwą uwagę na naczynia, ażeby takowe nie były miedziane, źle wybielone lub cynkowe; powszechnie bowiem duszą się grzyby z tłustościami, które wspomnione kruszce w sobie rozpuszczając, sprowadzić mogą otrucie lub przynajmniéj oznaki chorobliwe rujnujące zdrowie. Pamiętać wam wreszcie o tem należy, że grzyby więcéj jako przyprawę, aniżeli jako potrawę, czyli jako pokarm uważać winniście; używając ich albowiem do nasycenia, a co gorsza, i co się przy ich smakowitości, a waszéj niewstrzemięźliwości w jadle nierzadko zdarza, do przesycenia, można się łatwo na niestrawność narazić.

Większą jeszcze ostrożność zachować potrzeba z grzybami suszonemi, zwłaszcza kiedy ich kto sam nie suszy, gdyż rozpoznanie ich daleko jest trudniejszem.

Mylnem jest mniemanie, jakoby szkodliwość grzybów zależała od pory roku, kwadry księżyca, lub rodzaju gruntu. Błąd ten pochodzi z nieumiejętności rozróżnienia podobnych do

siebie, choć całkiem odrębnych grzybów; wszakże w jednym czasie i z tegoż samego gruntu zbierane, jedne szkodzą zdrowiu, a drugie, byle miernie użyte, bynajmniéj nie są szkodliwe.

Kiedyś wyłożę wam poznaki, czyli główne cechy grzybów trujących, oraz najskuteczniejsze środki zaradcze w razie otrucia się szkodliwemi grzybami.

Różności.

Podczas burzy w dniu 4 sierpnia r. b. piorun uderzył w polu pod wsią Stawiątkami, zabił gospodarza i parę koni; parobek będący przy koniach padł na ziemię bezprzytomny, lecz nie doznał żadnéj szkody.

W niektórych miejscach pokazuje się wiele owadów zbożu szkodliwych, tak np. w Tykocińskem mnóstwo pędraków; w Sieradzkiem okazał się gatunek szarańczy, która wprawdzie w początkach czerwca zginęła, ale wiele narobiła szkody.

Pożary w ubiegłem półroczu były znaczniejsze dwa w okręgu Włodawskim, mianowicie we wsi Kruszynku i w mieście Brześciu; ostatni był skutkiem uderzenia piorunu.

W obwodzie Sanockim w Galicyi napadł rój pszczół na 5 koni na pastwisku, i pokłuł je tak żądłami, że 3 z nich zaraz zdechło, a dwa męczyły się jeszcze dni 13. Podobny wypadek kiedyś miał miejsce i w królestwie, we wsi fabrycznéj Starachowicach pod Wąchockiem. Podróżny jakiś zajechał przed dom wójta gminy; miał on parę koni spoconych, na które z bliskiéj pasieki wypadł rój pszczół, gwałtownie i tak mocno pokaleczył te biedne stworzenia, że w kilka godzin pozdychały. Wypadek ten ostrzega, aby w bliskości dróg i gościńców pasiek nie zakładać.

Podają w gazetach sposób na wyniszczenie gąsienic, który zależy na posypaniu drzew z rana po rosie, albo po deszczu wapnem niegaszonem. Ku temu celowi urządzić należy drabiny wystające nad drzewa, i z tych za pomocą naczyń, któreby były na wzór piaseczniczki urządzone, z przodu zwężone i opatrzone blachą dziurkowatą, z tyłu zaś szersze z klapą otwieraną do nasypywania wapna, posypywać je. Wapno drzewom nie zaszkodzi, a owad zginie.

We wsi *Jagodne* pod Garwolinem sołtys miejscowy miał sukę, którą sam wychował. Pojechawszy do Warszawy, sprzedał ją z dwoma szczeniakami. Po kilku dniach ujrzano sukę w Jagodnem leżącą na zwykłem swojem legowisku z jednem szczenięciem. Sołtys odwiózł ją powtórnie nabywcy. Lecz jakież było jego zdziwienie, kiedy w kilka dni znowu sukę ujrzano na podwórku sołtysa z drugiem szczenięciem w pysku. Pięć razy odbyła ona drogę półosmo-milową, ale wkońcu ze zmęczenia zdechła.

Nie pierwszy to dowód przywiązania tego wiernego zwierzęcia!

Piszą w gazetach, że zaraza bydła *księgosuszem* zwana, od niejakiego czasu grasuje w gubernii Wołyńskiéj, a podług otrzymanych wiadomości, okazała się w kilku miejscowościach Włodzimierskiego, Łuckiego i Dubieńskiego powiatu, z których pierwszy przyległy jest Królestwu Polskiemu. Odwołując się do ogłoszenia w pismach publicznych, Kommisya Rządowa Spraw Wewnętrznych, i Duchownych ostrzegła mieszkańców Królestwa Polskiego, głównie zaś sąsiadujących z gubernią Wołyńską, iżby dla własnego i całego kraju bezpieczeństwa, ściśle zachowywali środki ostrożności, celem niedopuszczenia téj straszliwej zarazy do kraju tutejszego.

W okolicy między Tykocinem, Sokołami i Wysokiem Mazowieckiem upadły liszki i z małym wyjątkiem, pojadły prawie w ogólności grochy i lny. A co ważniejsza, czego nawet starzy ludzie nie pamiętają, że liszki znowu innego gatunku pojadły konopie, a nawet oset w wielu miejscach. Kartofle w tamtych okolicach ogólnie się psują i robaczeją, ale nie jest to jeszcze zgnilizna taka jak lat poprzednich, bo kartofle tylko rdzewieją. Zbiory w ogóle tam trudne były, podobnie jak w wielu inszych okolicach kraju; niejeden zebrane już zboże musiał ze stodoły dla wysuszenia wyrzucać, pasza na nic, ziarno czarne.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 27 sierpnia (8 wrześn.) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*.